№ 5. Warszawa, dnia 23 Stycznia (4 Lutego) 1897 r. Rok XXX

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**
EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

OD WYDAWCY.

Początek drukującej się obecnie w *dodatku* do „Bluszczu“ powieści

pod tytułem:

SIOSTRY

nowi prenumeratorowie otrzymać mogą na żądanie bezpłatnie.

POGAWĘDKA.

Jak widok Panoramy „Tatr“ na Dynasach, gdzie odtworzone piękno przyrody w bogactwie swych świateł, cieni i barw, rozbudza w nas żądzę ujrzenia naocznie tych cudów, zanurzenia się w powietrzu gór, otarcia się piersią własną o skaliste ich turnie, skąpania się w blasku i woni traw dolin Karpackich—takie same pragnienie czujemy do wyrwania się z szarych murów naszej Warszawy i ulecenia w dal, w dal barw pełną i świateł, po przeczytaniu „Obrazków Weneckich“ Wiktora Gomulickiego.

Nie są to notatki podróżne, nie są to kartki z doznanych wrażeń, pisane przez zwykłego turysty, ale są to sobie miniaturowe arcydzieła malarskie, świecące złotem i tęcz kolorami, tylko artysta zamiast pędzla pióro wziął do ręki, i tem większej sztuki dokazał, że piórem—malował...

Zdawałoby się, że nic już nowego o takiej Wenecyi napisać nie można, że tak dobrze znany jest każdy jej szczegół, iż chcąc coś jeszcze powiedzieć o tej królowej mórz, musiałby gawędziarz, rad nie rad, powtarzać rzeczy znane, zatem nieinteresujące, deptać innym po pięcie, własnemi tylko słowami opowiadać to, co inni powiedzieli, więc co było tysiąc już razy słyszane.

— Znasz tę książeczkę? zapytałem jednego ze swych znajomych.

— Co to jest?

— „Obrazki Weneckie“ Gamulickiego.

— Ach—Wenecya!... Tej książeczki nie czytałem wcale, lecz wiem już naprzód, co mieścić w sobie może. Zaprowadzi mnie autor naprzód na Plac S. Marka, każe się zachwycać mozajkami cudnej świątyni, o marmury czoło opierać, rozpatrywać uważnie każdy architektoniczny szczegół. Później wsiądziemy do gondoli i kanałem wielkim popłyniem do „Pałacu dożów,“ na „Moście westchnień“ szerokie westchnienie z piersi dobędziemy, zwiedzimy muzea, pokołyszemy się na falach Adryatyku, przypatrzymy się lazzaronim z nieodstępnym makaronem w palcach i—i... zostanie może serenada jakaś, bo Wenecya bez serenady obejść się nie może. Widzisz zatem, że nie czytając pokazywanej mi książki, wiem z góry czego się od niej spodziewać mogę. Sam zresztą byłem w Wenecyi, i poznałem ją tak dobrze, że już nic tak bardzo nowego w „Obrazkach nie znajdę.“

— Być może — przeczytajmy jednak krótki rozdziałek IV-ty...

— Zatytułowany?

— Bazylika.

— A co!... Mój kochany, ja ją z zamkniętemi oczyma opiszę ci i wyrysuję...

— Nie przeczę.—Poświęć się jednak dla mnie i tych malutkich kartek pięć, poświęconych Bazylice, przeczytaj.

Czyniąc zadość mej prośbie, wziął książkę i w milczeniu czytać zaczął.

Po paru minutach skończył rozdział...

— Cóż? spytałem.

— Hm! mruknął... Tu nie Bazylika gra główną rolę, lecz sposób modlenia się wenecyan, ich dusza pogrążona w modlitewnej ekstazie.

— Czy przeczytałeś o rzeczy ci znajomej?...

— Patrzałem na Bazylikę nieraz, mniej zwracałem uwagi na ludzi... Jaki to świetny, krótki, a doskonały obraz wenecyanki, z pod żaru słonecznego wbiegającej do zimnych murów kościoła:

„W cichej kaplicy, której wielkie, słońcem zalane okna szkarłatną oponą zasunięto, daje się słyszeć prędki stukot damskich bucików.

Drobnym, szybkim krokiem wbiega wenecyanka, cała w koronki czarne spowita i, mimo upału i zmęczenia, matowo-biała. Przypada do stojącego pod murem klęcznika, wspiera się o rzeźbioną deskę; koronkę z twarzy odrzuca i zanim jeszcze pozdrowiła Boga, zaczyna się pośpiesznie wachlować. Wielki, purpurowy wachlarz migoce w jej ręku, jak krwawa błyskawica, a przymknięte oczy, rozchylone usta, błyskająca z pomiędzy nich biała zębów emalia i cały wyraz twarzy, w gorących czerwonych odblaskach skąpanej, mówić się zdają:

— Ach, jak mi dobrze! ach, jak mi tego było potrzeba!...

Uspokoiła się wreszcie i odpoczęła. Wachlarz zamyka i odkłada na stronę, poprawia fałdy koronkowej zarzutki, łokcie opiera na klęczniku i palce rąk zaplata. Wyraz jej twarzy zmienia się. Rozkoszne rozleniwienie odaliski ustępuje miejsca czujności kobiety zalotnej, na ustach

zjawia się półuśmiech, policzki różowieją, czarne oko strzela ku niebu ogniście, a z warg szkarłatnych i z falującej piersi wybiega szept, westchnieniami krótkiemi przerywany:

— Jezu, skarbie mój!... Jezu, serce moje!... Jezu, miłości moja!...

A oto inny obrazek z natury.

Noc. Zaułek na krańcach Wenecyi. W zagłębieniu muru posążek Madonny, obstawiony doniczkami z kwieciem; przed posążkiem mała lampka czerwona, której płomieniem wiatr chwieje. Księżyc to wypływa z za chmur, to się za nie chowa. Woda w kanale pluszcze, mrucze, szemrze, jakby ktoś razem: modlił się, całował i płakał.

Pod kamienne schody podpływa milczkiem łódź czarna. Wysiada z niej kobieta w chustce dużej, pod którą coś ciężkiego ukrywa. Wysiada i, jęcząc, ciężar swój pod stopy Madonny niesie. Zbliża się, chustkę odkrywa i na kamieniach składa—dziecię. Dziecię jest chore, bezsilne i od gorączki nieprzytomne. Nawet płakać nie może.

— Prędko wrócić? pyta odpływający przewoźnik.

— O zorzy—odpowiada kobieta.

Rzuciła się na kolana, włosy jednem szarpnięciem ręki rozplotła i rozpoczyna modlitwę. Modli się o zdrowie dziecka. Dziwna to modlitwa! Kobieta nie prosi, ale się upomina, nie korzy się ale wygraża, nie płacze ale zgrzyta i wyje. Jest to jakby zacięta obrona lwicy, której chcą zabrać lwiątka. I przez kilka godzin słychać tę Prometeuszową walkę człowieka z ciemnością, walkę „przerywaną“ długiemi pauzami martwej ciszy, a powtarzaną stokrotnie przez echa kanałów i lagun...

Tak się w Wenecyi modlą.“

— Znasz więc to miasto? zapytałem czytającego.

— Nie—bo znać miasto, to znaczy znać ludzi. My zaś zwiedzamy to, co wprost w oczy nam wpada, nie sięgając do głębi duszy ludzkiej.

W krótkich obrazkach Gomulicki dał nam Wenecyę nie tę, na jaką przywykliśmy patrzeć. Nie zatrzymał uwagi naszej nad pięknościami architektonicznych ozdób pałaców książęcych; świetna, bogata Wenecya mniej go nęciła od ciemnych, nieznanych zaułków, gdzie kryje się nędza i bieda. W Trattoryi zwraca jego uwagę gwar tłumu, w Teatrze ten tłum go pociąga także, zaziera do domów, przypatruje się rybakom i kilku słowami rzuca charakterystykę tak świetną, że bez długich opisów stoją przed nami, jak żywi, ci, których żywicielem jest morze. Jeden rzut pędzla wystarcza mu do utworzenia całości obrazu. To też „Obrazki“ czytają się tchem jednym, owiewa nas gorące, południowe Włoch powietrze, szmery fal łączą się z pocałunkami, gwar napełnia restauracyjne sale. I—opisując Wenecyę-Gomulicki nic szablowanego nie stworzył; znane rzeczy owiał nowością i dał nam prześlicznych obrazków dziesięć, które poznać się godzi, bo nie często mamy tak pięknie pisaną dziś książkę.

Jakkolwiek zdają się już być policzone dni zimy, teraz właśnie usłała się ona na dobre, gruba warstwa śniegu przypruszyła ulice Warszawy, co niezwykle ożywiło ruch miasta. Śmigają więc sanki, na karkach rumaków różnobarwne powiewają pióra, srebrny dźwięk dzwonków rozlega się w powietrzu, kto tylko może korzysta z sanny i używa dowoli szlichtady. Afisze na słupach ogłoszeniowych zapowiadają wytrwale bale maskaradowe, mimo to sale redutowe pustkami świecą, o dowcipach nie słychać nic a nic, nawet już „lufcikiem“ tajemniczych nie traktują masek. Natomiast balów kilka, zapowiedzianych na cel dobroczynny, zapowiada się świetnie. Bal na Schronisko dla biednych dzieci nie pokpił sprawy; artyści pędzla i pióra, jak jeden mąż stanęli do apelu zdobiąc karnety pięknemi winietami, wierszami i aforyzmami. Z tych drobiazgów powstała jednodniówka, ofiarnością ludzi dobrej woli. Fabryka „Soczewka“ ofiarowała papier, drukarnia p. Sikorskiego wydrukowała ją bezpłatnie, a stroną artystyczną zajął się gorliwie p. Edward Nicz.

Druga wielka zabawa odbędzie się w dniu 13 Lutego w Salach Redutowych, a nazywać się będzie „kwiatową;“ następnie pójdzie bal na korzyść Tow. Pań św. Wincentego à Paulo. Krom tego nie zasypiają sprawy Cykliści, powiódł się też świetnie i bal Inżynierów.

Naprzód i naprzód, dalej, dalej, za pląsem pląs pójdzie, aż się dobiegnie do środy popielcowej, do chwili, w której zabrzmią smutne słowa: Proch jesteś!...

I zatrzymamy się przed straszną zagadką życia, senną myślą łowiąc tylko wspomnienia nikłego szczęścia.

Kiedy niekiedy zajrzę do wystawy Krywulta, do Salonu artystycznego, do Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Ten to ów obraz zwróci na chwilę uwagę moją, lecz żaden nie przykuł tak myśli, tyle smutku nie zbudził w sercu, co obraz Wyczołkowskiego, zatytułowany „Sarkofagi.“

Nie wiele obecnie w Zachęcie mamy malowideł tego artysty. Prześwietny kolorytem jest „Rybak przy zachodzie słońca“ i „Duma na łące,“ „Rzeźba Chrystusa w cierniowej koronie“ i „Chrystus za krepą,“ jako też „Chata w lesie“ przygnębiająco oddziaływają na ducha. Ogromny smutek wieje z twarzy Ukrzyżowanego, ogromne opuszczenie Boga, u którego stóp złożonych tylko pieniążków parę i kwiatów parę, świadczą, że o Nim pamiętają jeszcze biedni i opuszczeni tak samo, jak i On. „Chata w lesie“ robi również wrażenie pustki. Jest to już trup mieszkania, w którem niegdyś brzmiał śmiech, dzwoniły pocałunki, drgało życie. Lecz czas przeszedł, niszczący może jakiś wiatr powiał nad tą niegdyś siedzibą ludzką. I oto mech na dachu porasta, osypał się jeden bok ściany, wiązanie i belki już próchnem świecą, a nad tem wszystkiem cisza lasu i ciemność.

Lecz oto „Sarkofagi.“

Patrzę, patrzę i jakaś bardzo długa i bardzo smutna legenda snuje się w myśli mojej. Rzekłbym że malarz tym obrazem rzucił zagadkę do rozwiązania ludziom; i rozwiązują jak chcą, wedle swej fantazyi, wedle swych zdolności do marzeń. Jam sobie, ot, taką bajkę wysnuł:

Był niegdyś król, pan dobry, nosił szatę szkarłatną i koronę rozwijającą się liljami białemi na obręczu ze złota. Wielu królów przed nim i po nim było, którzy wielkiemi wojnami i zwycięstwami wsławili się. Wiedli za sobą hufce rycerskie w żelazną zbroję zakute; może do ziemi świętej szli, walczyć o grób Chrystusowy, może o karki pogan, bliżej swych granic, tępili ostrza szabel, może ich wiodła pycha i duma zwycięzców, żądza krwi i podbojów. Zdobywali ziemie i miasta, uwozili łupy bogactw niezmiernych, dzieląc się nimi z rycerstwem swoim. Lecz gdy mężowie w zbrojach w dostatkach opływali i w pysznych zamkach mieszkali, przy roli lud pozostał biedny i ciemny, służąc rycerzom i panom.—Ni światło nauki, ni złoto tych bogactw, ni szczęście ani swoboda owych wybranych, ani razu nie spadły na spracowane czoła rolników, srogiemi prawami do ziemi swojej przykutych. Lecz minęli króle—zdobywcy i poszli do podziemia świątyni bogatej na spokój wieczny.

I oto z lędźwi ich powstał król jeden, który u bioder swoich nie przypasał sławnego głośnemi zwycięztwami miecza praojców. Nie na zdobywanie ziem obcych, poświęcił żywot swój, nie królem rycerzy i panów być chciał, lecz zszedł do nizin, do nędznych chat zajrzał i dolę kmiecą osłodził. Za panowania jego nie było wojen i walk, rycerstwu rogów przytarł, a uciśnionym prawa dał.—A gdy wypełnił się czas jego żywota, poszedł i on do podziemia świątyni bogatej na spokój wieczny.

Król o liljowej koronie zostawił dziecię jedno po sobie: może to córka, może wnuka jego była. Wielkie państwo w udziale onej dziewicy przypadło, której dobroć i piękność świat cały chwalił.

Zasłyszał o pięknej królowej król jeden wschodni i w dziewosłęby panów swych do niej posłał. — Wrócili swatowie, i dziwy zaczęli opowiadać o tej piękności i dobroci władczyni młodej. I wziął ją ów król wschodni za żonę i cały naród jego przylgnął swem sercem do niej. Lało się szczęście wezbranym strumieniem w krainach owych i gdy pamięć wśród ludów o wielu panach, książętach i królach osłabła—król w liljowej koronie i królowa—dziewica żyli w sercach poddanych wszystkich. Lecz i dla niej czas nadszedł i ona poszła do podziemia świątyni bogatej na spokój wieczny...

Minęły lata długie, minęły wieki całe... Pokruszyły się marmury sarkofagów królewskich, kamienne popękały płyty. Nikt do opuszczonych grobowców nie zaziera, tylko przez czerwone szkła szyb w ołów oprawnych, wpłyną czasem promienie słońca i otoczą blaskiem purpury, popękane królów groby... Śpią ich postaci zimne i nieruchome, wśród wilgoci podziemia, cienia sklepień i ciszy wielkiej. Zapomnieli ludzie, czas obowiązku nie ma pamiętać. W sarkofagach proch, na nich bez głów postaci królów... Lecz, nienaruszony zostały posąg i króla o liliowej koronie i drugi—królowej...

Z omszonych sklepień zsunął się pająk i snuć zaczął misterną sieć swoją. I oplótł głowę królowej tkaniną cienką i przeszedł do sarkofagu spoczywającego obok króla i pajęczemi nićmi otoczył lilie koronne; a później wszystkie te sploty związał razem, w jedną zasłonę połączył, dwie królewskie głowy zjednoczył, okręcił jedną siatką przędziwa swojego... Złoci się blask słońca na tej pajęczej sieci, patrzy w nieruchome twarze kamiennych królów i mówić się zdaje:

— Patrzcie!.. o tamtych nikt nie pamięta. — Z popękanemi mieczami leżą bez głów i rąk. Was nie tknął ząb czasu a pamięć ludzka snuje wciąż o was tęczową nić baśni czarodziejskich.

Może ten szept promienia zasłyszeli śpiący w sarkofagach dalszych, bo oto kamienne podniosły się postaci i zdziwione, strwożone, zaczęły się przypatrywać królowi i królowej. Jak pamięć ludzka, dwie tylko te głowy piękne osnuła nić pajęcza; o nich też najpiękniejsze krążą legendy, śmierci nie zaznają ich czyny, w pamięci i sercach żyć będą wieczyście...

Taką powieść wyszeptały mi sarkofagi Wyczółkowskiego, jakąś legendę kamienną, baśń średniowieczną.

Radzimy szczerze, kto nie widział jeszcze obrazu Wyczółkowskiego w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych, ażeby poszedł i zobaczył. Może inną baśń od mojej wysnuje, zawsze drgnie mu serce i coś myśl poruszy.

Doprawdy, że gdyby nie „Obrazy weneckie“ Gomulickiego, nie „Sarkofagi“ Wyczółkowskiego, nie mógłbym dziś wywiązać się z przyjętego na siebie obowiązku gawędziarza. Na bruku warszawskim pusto choć gwarno, w sercach ludzkich roją się jakieś sny może, ale trudno do serc zajrzeć, a im są czystsze, bielsze, tem skryte więcej.

Pozostał Teatr, właściwie — Teatry...

W „Wielkim“ opery i włoscy śpiewacy ściągają, jak zwykle, tłumy; do „Małego“ tłoczy się tłum i śmieje się na zabój. Najwięcej pracy ma Bolesław Ładnowski, by kartę repertuaru zapełnić, nowości dać jakieś, podnieść Teatr Rozmaitości do należnej mu wysokości.

Zadanie nie łatwe,—życzliwi nowemu reżyserowi dają mu poklask cichy, zoile ostrzą nienasycone swoje ząbki.

— Dawaj oryginalne sztuki!...

— Macie!...

Skrzywili nosy.

To złe, to niedobre...

— Dawaj tłomaczenia!

— Macie!..

I to nie podobało się.

Zaś „Figle amora“ przez ostre nawet cięgi przeszły...

Czy słusznie?

Dużo błędów i wad w tej sztuce być może, lecz mojem zdaniem, zachęta może więcej dobrego zrobić, niż krytyka bezpardonowa. Pozwólcie swojskiemu autorowi napisać nawet rzecz słabą, nie uda się raz, drugi raz się uda, boć są talenty, które się *rodzą*, są, które się *wyrabiają*. Jednych i drugich nam nie brak, tylko brak im życzliwych słów, przyjacielskiej pomocy, koniecznej zachęty. Złamać budzącą się energię potrafimy, lecz podnieść upadającą — nikt sobie trudu nie

zada. Chwalimy nieraz miernotę zagraniczną, a równej tej, bo swojskiej, odmawiamy praw wszystkich. Nielada do zgryzienia orzeszek ma p. Ładnowski, lecz mamy nadzieję, że go zgryzie i strawi bez szkody.

??

WIDZIAŁA...

Wiersz księżniczki Heleny Czarnogórskiej, księżnej Neapolu.

Rzekła matka do dziewicy:
— Chcesz wiedzieć jak jest na świecie?
Chcesz poznać co jest na ziemi,
I w rodzinnej okolicy?
Zawsze, moje drogie dziecię,
Patrz oczami otwartemi,
Patrz oczami uważnemi.

I dziewczyna cudne oczy
Otworzyła w świat szeroki —
I widziała świat uroczy,
I widziała górskie szczyty
Sięgające pod obłoki
Sięgające pod błękity;
I widziała jak w dolinie
Fala kwiatów łąką płynie,
Jak na niebios pysznym skłonie
Życiodajne słońce płonie,
Jak się w morza tajnej głębi,
Dziwnych istot roje kłębi,
Jak cudownie jest odziana
Świeżych kwiatów karawana
Gdy z pod rosy wstanie z rana —
I jak na strumienia brzegu
Wyrzucona w wartkim biegu
Błyszczy w zorzy śnieżna piana...
Z zacisznego też podwórka
Widziała jak ptasząt chmurka,
Wystrojona w barwne piórka
W wielki bezmiar ulatała
I jak harfa w górze grała...
I widziała oczy swemi
Złotych zbóż dojrzałe kłosy
Schylające się ku ziemi
Pod ziarnami już ciężkiemi——
I tak patrząc w obraz ziemi
I tak patrząc na niebiosy,
Cały świat w koło widziała —
Tak jak matka jej kazała
Oczy swemi otwartemi...

Ale gdy przymknęła oczy——
Zjawił jej się raj wyśniony,
Stokroć droższy i uroczy,
Nad świat cały i nad trony!

I widziała kochanego,
Jedynego, najdroższego,
Co ją w marzeń kraj wprowadzał,
I widziała wybranego
Co nad sercem jej panował,
Który myśli jej wyzłacał
I na tronie szczęścia sadzał,
I widziała najlepszego
Który duszę jej miłował,
Co serce sercem odpłacał,
Miłość miłością nagradzał
I nad życiem jej królował!
Więc z radości cała drżała,
I swe oczy przymykała
Byle tylko go widziała!

Tłom. Szczęsna.

ELIZA ORZESZKOWA.

(Dalszy ciąg).

Poza kwestyą kobiecą i ściśle zespoloną z nią kwestyą wychowania młodych pokoleń występuje inna również ważna, uwydatniona przez autorkę w *Rodzinie Brochwiczów*, *Nad Niemnem*, *Australczyku* i *Dwóch biegunach*. Jakkolwiek każda z tych powieści zgoła różną treść w sobie zawiera i różne występują w nich charaktery, atoli zespala je z sobą jedna zacna myśl autorki, uwydatniona w fabule powieściowej w kształtach możliwie wyraźnych.

W pierwszym z tych utworów widzimy jedno z najżywotniejszych, zagadnień społecznych, a mianowicie kwestyę pracy około utrzymania własności ziemskiej.

Jan Brochwicz, obywatel wiejski, człowiek starej daty, nawykły do łatwego systemu gospodarowania przed uwłaszczeniem włościan, po reformie nie umie żadną miarą pogodzić się z nowym porządkiem rzeczy i po kilku najniefortunniejszych próbach uprawy roli uznaje w sobie zupełną niezdolność dalszego prowadzenia gospodarstwa i, sam opuściwszy ręce, całą nadzieję poprawienia pogorszających się z każdym dniem interesów majątkowych położył w synu swoim Maryanie. Gdy starzy nie mogą poznać nowych prądów i dać sobie rady wobec innych zgoła warunków bytu, tak odmiennych od tych, wśród których wzrośli, niewątpliwie młode pokolenie zdoła przełamać przeszkody, nagiąć się do nowych wymagań teraźniejszości i zabezpieczyć przyszłość dla siebie. Czy owi młodzi mają dość sił potemu i w jaki sposób wezmą się do tego zadania, nie usiłuje nawet poznać pan Brochwicz; słowami: „może dzieci nasze“ kończy zwykle wszelkie swoje rozmyślania o jutrze, które dla niego pozostaje ciemnem, niepojętem. Niestety, „dzieci nasze“ zawodzą oczekiwania ojców. Maryan, chłopiec bez gruntowniejszego wykształcenia, przyzwyczajony do próżniaczego i wygodnego życia, nie ma żadnego pojęcia nietylko o gospodarstwie racyonalnem, ale wogóle o pracy i o obowiązkach społecznych. Lada przeciwieństwo zniechęca go, zmusza do opuszczenia rąk i niszczy wszelkie nadzieje w piersi młodzieńca, przywykłego żyć dotychczas w zupełnej bezczynności. Maryan w poczuciu własnej niemocy wpada najpierw w śmieszny pesymizm, któremu podlegają zwykle istoty słabej woli i głowy, a następnie pod wpływem niefortunnie zawartego małżeństwa z osobą niekochaną rzuca się w wir życia hulaszczego i śladem złotej młodzieży używa dziś, nie wierząc w jutro. Wzruszającą i tragiczną nawet jest chwila, w której stary Brochwicz, stojąc w ukryciu, słucha, jak w sali restauracyjnej syn jego w gronie przyjaciół, wśród brzęku kielichów głosi nowe teorye swoje, wyrosłe na gruncie pesymizmu a niszczące wszystkie świetne nadzieje, jakie dotychczas ojciec pokładał w synu. Straszna ironia losu! Brochwicz obecnie słucha, jak syn, ta właśnie nadzieja jego, woła: „chore są gwiazdy przeznaczeń naszych; nic nie szkodzi: przy suchotniczym ich blasku możemy jeszcze czas jakiś bawić się wesoło,“ a nie wierząc w przyszłość, wskazuje jako jedyny cel swój użycie, hulankę, która ma resztę chwil jego wypełnić. Zawód tedy nastąpił straszny. Po powrocie z restauracyi w rozmowie z żoną Jan Brochwicz poraz pierwszy w życiu zadał sobie pytanie, jak wychowywał syna. „Bóg mi świadkiem, że czyniłem dla niego wszystko, co mogłem i umiałem; ale musiałem coś zaniedbać, o czemś zapomnieć.“ Nad rodziną Brochwiczów zaciężył fatalizm jakiś, nietylko bowiem Maryan zawodzi nadzieje rodziców; to samo czyni i córka, która daje się wykraść i pokryjomu bierze ślub z pseudo-muzykiem Wąsikowskim, znakomicie przez autorkę skreślonym typem zapoznanego artysty, pyszałka, głupca i próżniaka.

I tutaj tedy, jak widzimy, Orzeszkowa przewodnią myśl utworu zespoliła z kwestyą wychowania. Maryan nietylko jako człowiek wogóle, ale i jako obywatel przedewszystkiem jest okrągłem zerem. Dlaczego? Istotnie ojciec miał słuszność, mówiąc, iż w wychowaniu syna coś zaniedbał, o czemś zapomniał. Zapomniał w serce dziecka wszczepić miłość ku ideałom społecznym.

Zupełnie taką samą tendencyą odznacza się jedna z nowszych powieści Orzeszkowej p. t. *Australczyk*, atoli tem się różni mocno od poprzedniej, że w niej zamiast niedołęgów, wypuszczających glebę rodzinną z rąk swoich i nie umiejących dać sobie rady wobec zmiany warunków rolnych, widzimy ludzi energicznych, rozumnych i zdolnych wszystko poświęcić, by jeno utrzymać się przy własnym kawałku ziemi. Ludzie ci umieją doskonale zastosować się do istniejących warunków i własnemi rękami uprawiają rolę w pocie czoła, co im bynajmniej nie przeszkadza kształcić się umysłowo i zwracać uwagi na duchowe potrzeby ogółu. To też nietylko oni sami rozumnie spełniają swoje zadanie, ale jednocześnie przykładem własnym wywierają niemały wpływ na swe otoczenie, na tych, co, jak Roman Darnowski, szukają karyery gdzieś daleko na obczyźnie. Skutkiem tego o ile *Rodzina Brochwiczów* czyni wrażenie przygnębiające tem bardziej, że zgodności z prawdą odmówić jej niepodobna, o tyle znów *Australczyk* wlewa otuchę i wiarę w serce czytelnika.

Siostrzaną duszą bohaterów *Australczyka* jest Seweryna Zdrojowska w *Dwóch biegunach*, pełna energii kobieta, która dla obowiązków społecznych, zdrowo pojętych, umie poświęcić wszelkie osobiste uczucia. To też zamiast zwyczajem bogatych panien wesoło bawić się w wielkiem mieście, zagrzebuje się dobrowolnie na wsi, położonej wśród lasów zdala od świata ucywilizowanego, by sumiennie spełniać swoje obowiązki obywatelskie.

Ze względu na pokrewieństwo tendencyi do tegoż rodzaju, co i poprzednie trzy utwory, należy zaliczyć trzytomową powieść, napisaną z wielkim artyzmem, p. t. *Nad Niemnem*. Główną jej ideę spostrzegamy łatwo w fakcie połączenia się węzłem małżeńskim Justyny, córki obywatelskiej, z Janem Bohatyrowiczem, należącym do sfery uboższej szlachty zaściankowej nad Niemnem. Osnową opowiadania jest stosunek dworu do zaścianka i dokładna charakterystyka obu tych światów. Pierwszy z nich, świat obywatelski, którego wyobrazicielem jest dwór Korczyński, rozpada się na dwie połowy: do jednej należą przeważnie typy ujemne o przestarzałych przekonaniach kastowych, próżniacy, nawykli żyć bez pracy fizycznej i umysłowej, lub karyerowicze, poświęcający najdroższe uczucia ludzkie dla dostojeństw i grosza, słowem ludzie, pozbawieni tej wielkiej miłości, co w piersi jednostek zestrzela bole i radości ogółu, a żyjący tylko w sobie i dla siebie, morituri, obcy nowym potrzebom czasu i nowym jego ideałom. Do takich postaci, skreślonych przez autorkę po mistrzowsku, należy żona właściciela wioski Emilia Korczyńska, histeryczka, marzycielka i próżniaczka, niezdolna nawet ocenić ciężkiej pracy męża około roli, a wiecznie wzdychająca do wymarzonych ideałów; następnie bogaty młodzieniec Różyc, który, zakosztowawszy wszystkich przyjemnostek życiowych, stał się w bardzo młodym wieku starcem z wystudzoną piersią; dalej Zygmunt Korczyński, pseudo-malarz, lichy dyletant, który, otrzymawszy majątek po ojcu, nie wziął po nim, niestety, i jego uczuć obywatelskich, pomimo starań matki, usiłującej w duszę syna przelać ideały ojcowskie. Dlaczego tak

się stało? Odpowiedzą na to własne słowa matki: „Mówiłam ci wprawdzie o tej miłości zawsze, wiele, ale słowa—to, widać, siew nietrwały. Zbłądziłam.“ Syn, nieumiejętną ręką kierowany, stał się kosmopolitą i, zwąc ojca szaleńcem i szkodliwym członkiem społeczeństwa, oświadcza matce, że gdy bank rozbity doszczętnie, idzie grać przy drugim stole. Straszna ironia! Zygmunt Korczyński i Maryan Brochwicz należą do jednej kategoryi ludzi bez przyszłości i bardzo są pod wielu względami podobni do siebie.

Natomiast drugą połowę świata korczyńskiego stanowią ludzie, zupełnie różni od poprzednich. Są to jednostki pojmujące i odczuwające istotne potrzeby społeczne. Ludzie ci, na wzór bohaterów *Australczyka*, pociągają za sobą takich, którzy dla braku ducha inicyatywy i odwagi niezdolni są wystąpić o własnej sile z zaczarowanego koła przesądów, lub takich, którzy, jak Benedykt Korczyński, niegdyś żyli pełnem życiem, ale pod wpływem trosk codziennych zobojętnieli.

Takimi ludźmi nowej epoki jest Justyna i syn Benedykta Witold, którego można uważać za spadkobiercę niejako przekonań stryja Andrzeja. Jest on, zapewne, niewyrobiony jeszcze, istotnych potrzeb społeczeństwa i warunków, wśród których żyje, nie miał czasu zbadać i rozpatrzyć ich we wszystkich szczegółach i jasno sformułować sobie; stąd występuje bardziej jako frazeolog, niż człowiek zdolny do czynu, ale też od młodzieńca, co siedzi jeszcze na ławie szkolnej, trudno wymagać czegoś więcej. Jest to dopiero materyał, z którego przyszłość urobi zacnego i pożytecznego członka społeczeństwa. Tymczasem jest on, że się tak wyrażę, książkowym demokratą, który atoli przy pierwszem swem wystąpieniu zdołał już wpłynąć na zmianę usposobień ojca względem szlachty zaściankowej, rozbudzić w nim uśpione uczucia i temsamem położyć podwaliny do przyszłej zgody obu stanów. Znacznie różnym typem od Witolda jest Justyna Orzelska, uosabiająca razem z Janem Bohatyrowiczem główną ideę powieści. Nie posiadając tyle teoretycznego wykształcenia, ile go ma młody Korczyński, przewyższa go natomiast rozwagą i zdrowym poglądem na rzeczy. Doświadczenie, nabyte w ciągu życia, upokarzające zakończenie stosunku miłosnego z Zygmuntem, który jej za pierwszą prawdziwą miłość chciał odpłacić miłostkami, wreszcie pełny dotkliwych upokorzeń pobyt jej w domu Korczyńskich—to wszystko uczyniło z niej wcześnie kobietę dojrzałą, która, poznawszy nowy, a nieznany sobie dotychczas świat pracy i uczuć zacnych, choć szorstki, rubaszny i nieukształcony, przeniosła go nad duszącą i pustą atmosferę salonową. Justyna, wychodząc za Bohatyrowicza, nie czyni tego bez głębszej rozwagi pod wpływem chwilowego usposobienia; przeciwnie: zdaje sobie jasno sprawę ze swego kroku i wie dokładnie, jaką sobie przyszłość wytwarza.

Właśnie owa uboga szlachta zaściankowa z Bohatyrowiczami na czele, to drugi świat, występujący w powieści *Nad Niemnem*. Skreślony on jest w barwach nader sympatycznych; wprawdzie brak mu oświaty, wykształcenia, ogłady salonowej, ale natomiast są to ludzie zacni w swej prostocie, przywiązani silnie do rodzinnego zakątka i tradycyi, nawet nie sięgających zbyt odległej przeszłości. Justyna wchodzi w sferę tych ludzi z zamiarem dzielenia się z nimi własnym zasobem wiedzy „aby im trochę widniej, jaśniej i weselej było,“ poczem wyciąga ku nim dłoń przyjazną Benedykt Korczyński i obie warstwy społeczne łączą się znowu, jak to było przed laty, a węzłem zacieśniającym ten związek, gruntem wspólnym, na którym to połączenie następuje pomimo różnicy umysłowej, jest owa wielka idea, za którą dał życie i Andrzej Korczyński, i Jerzy Bohatyrowicz. Duchy obu tych mężów unoszą się niewidomie nad żyjącymi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NA ŁASCE

POWIEŚĆ

przez

M. N. Sas-Junoszę.

(Dalszy ciąg).

Pewnego dnia w południowej porze zjawił się niespodziany gość w Żarnkach, młody pan Leonard Żabicki, którego panie tej zimy w mieście poznały.

Przyjęty został bardzo mile przez matkę, dość obojętnie przez Kamillę, z czego baczna na wszystko Janina powzięła przekonanie, że pan Leonard nie bez celu przybył do Żarnek.

Młodzieniec był przystojny i miły, a starał się nim być jeszcze więcej. Jeżeli miał jakie zamiary, to nie wydawał się z niemi wcale, bawiąc panie przez dzień cały opowiadaniem w dowcipny sposób świeżo odbytej wycieczki do Francenzbadu.

Dużo osób znajomych hrabinie bawiło tego lata w tym zakładzie, więc opowiadanie pana Leonarda bardzo ją zajmowało. Dodać trzeba, że pani Żarnowiecka świat bardzo lubiła, i ciasno jej nieraz było w cichych Żarnkach, tembardziej więc wizyta młodego człowieka, wracającego z pomiędzy ludzi należących do owego świata, za którym tęskniła, ożywiła hrabinę.

— Sądziłem, że panie także odwiedzą w tym roku, który z zagranicznych zakładów,—mówił—dobrze jest czasami odświeżyć się trochę na szerszym horyzoncie...

— Wód żadnych nie potrzebujemy,—odrzekła trochę zażenowana pani Żarnowiecka, — w moim zaś wieku, każda podróż ciężką się staje... zresztą, znajduję, że Kamilka zbyt jeszcze młoda, aby być tak wszędzie pokazywaną. Wody, to pole popisu dla starych panien, młodych wdówek, lub rozwódek...

— Oh, *pardon madame!* smutnie by było, żeby wszyscy rządzili się zapatrywaniami pani hrabiny!—zaprzeczył pan Leonard żywo. — W takim razie zaręczam, że młodzieży by w każdym zakładzie brakło! Jednak,—dodał—przyznać muszę, że w tym roku Francenzbadzie właśnie młoda wdowa największe miała powodzenie... Panie muszą ją znać, pani Natalia Wieluńska...

— Pani Natalia!—zawołał nagle dziwnym tonem Roman.

— Znam ją—odrzekła nie uważając na ten wykrzyknik hrabina.—*Une très belle femme*, i nie dziwię się, żeście panowie głowy potracili.

— Pani hrabina raczy mnie wykreślić z pomiędzy tych ofiar... — grzecznie zaprzeczył Leonard,—o sobie nie mówiłem.

— I cóż? czy ta piękna pani uczyniła może wybór pomiędzy swemi niewolnikami? — zapytał ironicznie Roman.

— Mój Romku!—zauważyła hrabina. — Pani Natalia owdowiała niedawno, wątpię czy tak rychło...

— O, moja ciociu! nie znałaś chyba pana Wieluńskiego? po takim mężu niedługo się nosi żałoba! Zresztą, pani Wieluńska nie należała nigdy do bardzo smutnych...

— Zaręczam ci, że i teraz bawi się doskonale... a przynajmniej stara się bawić, — przerwał pan Leonard ze śmiechem.—Dziwna to z tem wszystkiem kobieta, wesoła, szukająca wrażeń, zawsze otoczona, strojna, a jednak czasem widocznie znudzona... coś w niej jest niewytłómaczonego, jakieś dziwne sprzeczności, które są powodem, że nikt jej dobrze poznać nie może...

— Widocznie studyowałeś ją pan pracowicie... — wtrąciła milcząca dotąd Kamilla, nie bez pewnej intencyi.

Leonard zaprzeczył żywo, jakby mu wiele zależało na tem, aby Kamilla zmieniła przekonanie, i ztąd rozmowa zawiązała się prawie wyłącznie między niemi dwojgiem, z czego korzystając Roman, opuścił towarzystwo.

Janina, którą wykrzyknik kuzyna Kamilli przy wymienieniu nazwiska pani Wieluńskiej mocno zastanowił, zauważyła, że wyszedł on z pokoju dziwnie jakiś nieswój z bladą twarzą, na której jakiś niebywały dotąd wyraz się plątał.

— Czy może to *ona*...—myślała sobie w duchu, zaciekawiona i w tej chwili... dziwna rzecz! jakieś niewypowiedziane uczucie przykrości zrodziło jej się w sercu, z powodu, że myt o którym jej Roman wspomniał, przyobleka się w ciało...

Tymczasem Roman zadumany, ponuro, powolnym krokiem, ze spuszczoną na piersi głową pełną niewesołych myśli, zagłębiał się w puste aleje parku.

Pani Wieluńska... Natalia... czyż on przypuszczał kiedy, że ją w ten sposób wspominać będzie, że to wspomnienie tyle mu bólu sprawi?

Kochał ją, o! kochał szalenie, namiętnie! i cóż z tej miłości zostało? wygnał ją z pamięci jak grzech... i dzisiaj jeszcze cierpi... Nie kocha jej już dawno, ale uczucia takie jak te, przez które on przeszedł nie mijają bez śladu; zostawiają po sobie tak bolesne rany, że lat mało aby się zabliźnić zdołały.. A potem, serce jak wypalony wulkan pustką stoi, zimne, nieczułe... Cóż w tem dziwnego? serce wyczerpało wszystkie skarby uczucia, wszystkie upojenia, skupiając je do jednego przedmiotu,—który okazał się złudną marą... I czemu tak się stało? pyta dziś Roman, stojąc zbolały nad szczątkami tego wspomnienia, czemu odarto go z tych marzeń świetlanych, skazano na pustkę serca, na niewiarę w przyszłość...

Zła gwiazda zabłysła mu na drodze a on ją wziął za jutrzenkę promienną, która całe życie osładzać mu miała...

Kochał ją, uwielbiał, i szanował. Była mężatką, więc z dala tylko patrzał w te oczy promienne, i co dnia więcej upajał się jej urokiem. Bał się swego uczucia, obawiał się, że przyjdzie chwila, w której zapomni o przepaści, która ich dzieli, zapomni o wszystkiem, by zdobyć jedno jej spojrzenie, jeden uśmiech... wyznanie... I unikał jej długo. Ale piękna, przyzwyczajona do hołdów kobieta, pociągnięta może bezwiednie tem uczuciem bez granic, ujęta postępowaniem pełnem delikatności, lgnęła sama ku niemu. Miała męża; ale dziwne to było małżeństwo! Nie stary jeszcze ale dziwnie brzydki, przygarbiony, suchy pan Wieluński uwielbiał swoją żonę, widząc w niej wszystkie doskonałości i ufał tak, że pani miała nieograniczoną swobodę, z której korzystała w całej pełni. Mały człowieczek nie miał żadnych wymagań, ani odrobiny zazdrości, wystarczało mu że panią Natalię nazywano jego żoną,—że ona raczyła przyjmować jego usługi.

Inny na miejscu Romana byłby może korzystał z wygodnej sytuacyi, ale jemu to nawet do głowy nie przyszło; za wysoko stawiał swój ideał, aby myślą nawet śmiał ją obrazić i dla tego, wieczory wydawane przez państwa Wieluńskich dość rzadko bywały uświetnione jego obecnością.

Pewnego dnia poszedł... a pamiętna to data! Pokusa była zbyt silna... Wszedł do pełnego gości salonu, a pani Natalia świetna, promienna pięknością i strojem bogatym, powitała go nader uprzejmie, ale z serdeczną wymówką, że ich tak rzadko odwiedza. Miała przytem tak gorący wyraz oczu, które więcej niż słowa mówiły, że Roman całkowicie głowę stracił, i wyznał cichym głosem, że nie przychodzi, bo się boi... Gorące oczy młodej kobiety zapałały jeszcze bardziej ale ich nie spuściła, i spotkały się one z równie rozpłomienionym wzrokiem Romana... nie mówili już nic, ale gdy po długiej chwili pani Natalia została odwołaną do obowiązków gospodyni domu, on został jak pijany...

Pijany był przez całą resztę wieczora; mówiono do niego, odpowiadał, śmiał się, ruszał, ale czynił to wszystko jak przez sen, a oczy jego jeden tylko przedmiot widziały, jedną postać w strojnej jasnej sukni z odkrytym gorsem, na który spadała fala złocistych jak promień słońca włosów.

Pani Natalia, jakby czując konieczną potrzebę

mówienia ciągle z Romanem, co chwila odzywała się do niego z jakąś uwagą lub prośbą. Zauważyła nagle, że jedna z jej ulubionych bransoletek została w drugim pokoju i prosiła go aby ją jej przyniósł. Roman poszedł posłusznie i spełniając polecenie czarodziejki, pilnie szukać zaczął zgubionego przedmiotu, gdy nagle coś zaszeleściało w progu... obrócił się, ale nim miał czas zobaczyć kto wszedł, zarzucono mu ręce na szyję, i usta jakieś spoiły się z jego ustami w namiętnym pocałunku... Trwało to mgnienie błyskawicy; widzenie znikło, a Roman został jak oszalały...

Jak długo był sam, oznaczyć nie umiał zagłębiony w miękkie poduszki kanapki dumał i marzył bardzo długo, nie myśląc wracać do salonu: tu mu było tak dobrzo, tak błogo; rozkoszna jakaś niemoc przyszła na niego, nie dając mu zrobić ruchu żadnego.

Szelest podobny pierwszemu kazał mu zwrócić oczy na drzwi zasłonięte portyerą, która w tej chwili odchyliła się z lekka, a na jej tle stanęła postać kobieca w jasnej sukni... Oczy jej duże niespokojne, błądziły po pokoju szukając kogoś, usta rozchylał uśmiech pełen czarownych obietnic...

Roman był już u jej stóp i ręce cisnął do ust rozpalonych...

Uśmiech zniknął z ust kobiety, drżała.

— Co pan o mnie pomyślisz?...—szepnęła,—co pomyślisz.

— Kocham cię! — brzmiała namiętna odpowiedź.

Wyciągnęła swoje ręce z jego uścisków, po twarzy jej przebiegł wyraz wahania, trwogi... przegięła się w tył, jakby uniknąć chciała zbliżenia z nim, ale trwało to jedną chwilę... obie malutkie dłonie szybkim ruchem złożyła napowrót w jego wyciągnięte i pochyliła się cała ku niemu.

— Niech więc będzie!—szepnęła,—to nad moje siły!

Wykrzyknikiem tym oddała mu swoje serce... Odtąd czarowne dni zaświtały dla Romana.

Natalia całym światem była dla niego; kochała go dziwnie namiętną miłością, objawiającą się w każdym kroku, każdem spojrzeniu. Pragnęła panować w sercu jego wszechwładnie, bez podziału, na zawsze... Mówiła mu nieraz, że życie swe całe utopiła w tem uczuciu, że skonałaby, gdyby ją przestał kochać. Roman podzielał te uczucia; i on czuł, że bez niej żyć by już nie mógł, bo rozkołysała go swoją miłością, unosząc w nieznane dotąd światy, ukazując życie innem, niż je widział dotąd. Jak go ta kobieta rozumiała, jak współczuła z nim w każdej rzeczy, jak się w zdaniach, w poglądach zgadzali!... a jaka była czuła, niewinna, pomimo życia w wielkiem świecie, jak anielsko dobra... jak umiała go pocieszać w chwilach zwątpienia, dodawać otuchy, pobudzać do życia, do czynu. Spryt jej wrodzony owiał go czasami, spryt ten, w połączeniu z nieudaną skromnością imponował mu. Kochał ją codzień więcej, bo codzień nowe skarby jej duszy odkrywał, a ona... ona nie kryła się wcale ze swem uczuciem.

Była chwila, że chciała przestać bywać w świecie, przyjmować u siebie, oddając się cała swemu uczuciu... Ledwie Roman jej wytłómaczył, by zaniechała tej myśli.

Raz znowu, pragnąc mu dać dowód swego uczucia, leciała już do męża, by go zmusić do rozwodu...

Ale Roman, choć zakochany do szaleństwa, miał tyle mocy nad sobą, że starał się unikać drażliwych sytuacyi, które mogły się w skandal zamienić.

Ułożono, że gdy będą zmuszeni rozłączyć się na lato,—bo Natalia musiała towarzyszyć mężowi do jego krewnych na kilka miesięcy—wtedy ona spokojnie i stanowczo przedstawi projekt panu Wieluńskiemu, nie wspominając nic o Romanie.

Wyjeżdżając rozpaczała, prawie szalała.

— Nic mnie z tobą nie rozłączy! — wołała. — Gdyby nawet on się nie zgodził, ja nie odstąpię od ciebie... wszystko mi jedno! ja bez ciebie żyć nie mogę!

Serce Romana rozpływało się z rozkoszy... Tęsknił za nią gdy pojechała, męczył się jak potępieniec, i wszystkie te uczucia odzwierciadlał w listach pisywanych do ukochanej, na które odpowiadała mu z równym zapałem.

Dwa miesiące wydały mu się latami. Zapełniał sobie czas jeżdżąc z miejsca na miejsce, niezadowolony z niczego. Nareszcie kres rozłączenia dobiegał. Pierwszy przybył do miasta, chcąc być pierwszym, by ją przyjąć i powitać; spodziewał się dobrej wiadomości, i drżał cały w oczekiwaniu... Pisała mu zawsze, że pracuje nad panem Wieluńskim, że ma nadzieję... i on się cały oddał tej nadziei...

Nagle, otrzymał telegram; krótki był bardzo: „Odmówił... Wszystko stracone... Przyjeżdżamy jutro.“

W Romana jakby grom uderzył, burząc wszystkie jego nadzieje... Co będzie? powtarzał sobie. Co będzie?...

Z trwogą śmiertelną oczekiwał Natalii, wiedząc, że wyrok swój z jej oczu wyczyta. Niepewność wpłynęła na jego humor, na zdrowie, był prawie chory, gdy przyszedł ją witać. Natalia wesoła, uśmiechnięta rozkosznie, piękna jak marzenie, powitała go z radością, pocieszając, że wszystko dobrze będzie... niech tylko zda się na nią! Pan Wieluński rozwodu nie chce? tem gorzej dla niego!... i śmiała się zaglądając Romanowi w oczy...

Ale on pozostał chmurny. Tak się już przyzwyczaił do myśli, że ją nazwie swoją żoną... tak mu było ciężko przystać na tę zmianę! tak się bał czegoś... sam nie wiedział czemu... smutne przeczucia go prześladowały.

A ona widząc go takim nienaturalnym inaczej to zrozumiała i wymawiać mu zaczęła, że ją mniej kocha... Wymagała teraz więcej jeszcze jak dawniej; musiał jej zdawać rachunek z każdej czynności, każdego kroku; zazdrosną była o każdą myśl jego. Wszedłszy na nowo w koło znajomych kompromitowała się prawie, wyróżniając Romana przedwszystkiemi, aż jej to kilka razy musiał dać odczuć...

— I cóż mi to szkodzi! — wołała zniecierpliwiona.—Niech sobie myślą co chcą, a jeżeli pan Wieluński się dowie, to może go zmusi do rozwodu, o który daremnie błagałam,

Ale Roman innego był zdania. Skandalem brzydził się zawsze, a wiedział, że w ten sposób do niego dojdą, pragnął uchronić swoją ukochaną przed złośliwością języków ludzkich; wolał cierpieć bez miary, niż dopuścić do tego.

Czy przekonywająca namowa jego, czy inny jaki powód wpłynął na Natalię, dość, że w niedługim czasie więcej nieco już umiała panować nad sobą, powściągając gwałtowne wybuchy uczucia, ale za to, gdy się znalazła sam na sam z Romanem, często rozpaczliwe czyniła mu wymówki, że ją kochać przestaje.

Biedak cierpiał strasznie... w obec namiętnej, niepowściągliwej natury Natalii, musiał trzymać w karbach własne uczucia, które mu pierś rozrywały, a ona go posądzała, że jego miłość maleje... Niewiedział jeszcze wtedy, że gdy kobieta zaczyna wątpić w miłość ukochanego, nieomylny to znak, że sama kochać przestaje.

Roman nie posądzał nawet o to Natalii... była dla niego bóstwem, ideałem, wiarą i nadzieją całą. Kochał i wierzył jej ślepo, zatopiony w niej myślą każdą, każdą krwi kroplą z nią zespolony. Nie mógł jednak nie zauważyć, że od niejakiego czasu zaszła w niej pewna zmiana, mało znacząca wprawdzie... ale zawsze przykra dla niego. Natalia, która w przeszłym roku w początkach swej miłości dla niego chciała zerwać z całym światem i żyć tylko dla ukochanego, teraz przeciwnie, zdawała się z wielką przyjemnością bywać w towarzystwach, zawiązała kilka nowych stosunków, i nie kryła się z tem wcale, że tej zimy ma zamiar bardzo dobrze się bawić.

Raziło to nieco Romana i delikatnie napomknął, że on na tej zabawie wiele straci. Natalia odrzekła trochę zniecierpliwiona, że on sam przecie sobie życzył, sam namawiał ją do takiego postępowania... Roman nie śmiał już nalegać, ale z trudnością mu przychodziło gonić za nią z zabawy na zabawę.

Wkrótce piękna pani rozbawiła się na dobre. Rój wielbicieli otaczał ją jak dawniej i Romanowi coraz trudniej było uzyskać chwilkę samotności.

Postanowił raz wyjaśnić tę kwestyę, bo czuł z bólem serca, że jego świetlana gwiazda zaciemniać się poczyna. Pewny praw swoich, bo upoważniony do nich przez nią samą, zażądał stanowczo, choć bardzo serdecznie, aby, jeżeli już ma się bawić, to przynajmniej odsunęła od siebie śmiałków, którzy czasem za wiele sobie pozwalają...

Natalia się oburzyła! jakto? on śmiał jej imponować, narzucać swoją wolę? krępować ją? Ach! czyż ona kiedy się spodziewała tego... ona go tak kochała, zaufała mu we wszystkiem, a on teraz chce korzystać z jej słabości, otoczyć ją murem chińskim przed wszystkiemi... Już jej się nawet bawić nie wolno... przecież ona młoda, i nic dziwnego, że ludzie lubią jej towarzystwo, a jeżeli ją otaczają, jeżeli mimowoli okazują jej swoje uwielbienie, to ona przecie temu nie winna... Rozszlochała się w końcu na dobre, dostała spazmów... i Roman przepraszać musiał.

Sceny takie powtarzały się coraz częściej. Roman stawał się coraz bardziej nerwowy, rozdrażniony, czuł; że mu się niesprawiedliwość dzieje, ale nie przypuszczał jeszcze, że go Natalia kochać przestała. Sądził, że przyzwyczajona przez męża do zupełnej swobody, z nim tak samo postępować chciała. Po takich scenach bywała przez czas dłuższy bardzo czułą dla niego, starając się swoją dobrocią zatrzeć w jego sercu niemiłe wrażenia. Perswadowała mu wtedy serdecznie, że zmiana w jej postępowaniu zwróciła by dziś uwagę wszystkich i męża, którego przedewszystkiem oszczędzać wypadało, aby się nie domyślił... a on słuchał zdziwiony, przypominając sobie jak niedawno ta sama kobieta brawowała wszystkiem, narażając się nawet na kompromitacyę...

Jednak, pomimo podejrzeń, które mu się w serce wkradać poczynały, ulegał jej zawsze... ciągle pod wpływem uroku jakim go otaczała. Były chwile, w których cierpiał straszne męki... ale dość było jej uśmiechu, spojrzenia, aby wszystko w innem ukazało mu się świetle.

Raz, zaproponowała mu, żeby z nią poszedł na maskaradę. Zbierało się całe znajome towarzystwo pań i panów, kostium wymyśliła sobie świetny... można się było zabawić doskonale...

Roman nie mógł zapanować nad sobą... blady, drżący, spokojnie zaczął jej przedstawiać niestosowność tego kroku. Czyż mało jej jeszcze zabawy? Jeżeli, jak utrzymywała — potrzebuje wrażeń, niech urządzi u siebie bal maskowy, ale niech nie idzie w ten tłum uliczny, gdzie każdemu wolno szeptać pod osłoną maski najniestosowniejsze żarty... Niech nie sądzi, że się zabawi... duszę jej napełni niesmak, znużenie, żałować będzie, że poszła... Zresztą, oświadczył jej stanowczo, że on nie będzie jej towarzyszył.

Słuchała w milczeniu, nie czyniąc żadnego ruchu, uśmiechając się tylko dziwnie. Potem, cichym, rzewnym głosem tłomaczyła mu, że niema się czego tak bardzo wzruszać, gdyż ona nie przywiązywała do tego tak wielkiej wagi... Jeżeli chciała, to tylko dlatego, że sądziła, iż jemu będzie przyjemnie znaleźć się z nią w tłumie masek, gdzie mogli być zupełnie odosobnieni... Jeżeli on nie chce... dobrze! Niechże się więc tak nie oburza, niech oczy przestaną ciskać iskry gniewu... z tem mu bardzo ładnie, to prawda, ale ona wolała już nie widzić go więcej takim.

— Tyran... despota!...—szeptała jeszcze ciszej, pieszczotliwie.

Tyran i despota już był u jej stóp, bez śladu oburzenia, wdzięczny za tę chwilę, w której cała jej dawno nie okazywana miłość wystąpiła na nowo.

Wesół był bardzo przez kilka następnych dni, pełen najsłodszych marzeń; uczucie dla kobiety, która swoją przyjemność poświęcić dla niego umiała, wzrosło do zenitu. Myślał tylko o tem, jakby jej dać dowód wdzięczności, jaką przyjemność wymyślić, która by zrównoważyła tę, której przez niego pozbawioną została.

W dzień owej nieudanej maskarady posłał jej

rano bukiet, a wieczorem stukał do jej drzwi, będąc pewnym, że przyjęty zostanie i jak przyjęty! serce mu drżało z radości na myśl samą.

Ale spotkał go bolesny zawód, oznajmiono mu, że pani chora, ma migrenę, położyła się i już pewnie spać musi.

Posmutniał. Biedaczka! ta migrena wywołana pewnie jego uporem... z miłości dla niego wyrzekła się balu, ale w ostatniej chwili żal jej się zrobiło... nie chciała się przyznać do tego... ale dostała migreny. Tak mu się przykro zrobiło, że była chwila, w której chciał napisać do niej, że zmienił zdanie i zaprowadzi ją na ową upragnioną maskaradę... w czas przyszła rozwaga. Natalia, jego idealna Natalia w tym tłumie głupich masek? czuł, że byłoby to poświęcenie nad jego siły! Lepiej już niech tak zostanie; posmuci się trochę, ale za to później dumną będzie ze swego czynu. Roman święcie w to wierzył.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD DRAMATYCZNY.

Figle Amora, komedya w 4-ch aktach Alfreda Konara.

Mieliśmy w teatrze Rozmaitości premierę oryginalną, która wyszła z pod pióra p. Alfreda Konara, młodego utalentowanego powieściopisarza, od lat kilku próbującego sił swoich również na scenie. P. Konar zaczął pisać przed dziesięciu laty—zaznaczywszy się nader dodatnio pod względem literackim zaraz przy pierwszych debiutach.

Pomimo młodości, autor od początku swej karyery patrzeć zaczął na świat ze stanowiska pesymistycznego i wprowadzał zarówno na karty powieściowe, jak i na scenę, bohaterów, a zwłaszcza bohaterki upośledzone pod względem moralnym. P. Konar malował szumowiny rodowego i arystokratycznego świata, zbankrutowanych uganiaczy za groszem, różne podejrzane osobistości męskie i żeńskie — słowem dotykał stron życia niezbyt pociągających, choć je odtwarzał z rzeczywistym talentem.

Galeryę tych figur bardzo dobrze charakteryzuje p. Józef Kotarbiński, który mówi: „Ruina moralna i obyczajowa tych ludzi jest zupełną,—cynizm ich trzyma na wodzy resztka form towarzyskich, ustępujących wyzwolonej swobodzie, a atmosfera moralna duszna tu i cuchnąca truje nawet lepsze charaktery. Tworzy to niezdrowy ferment.“

Należałaby się nagana autorowi zwłaszcza za ujemne prawie wyłącznie traktowanie postaci niewieścich; wywiera to niekiedy takie wrażenie, jakby p. Konar rysował swe figury wedle kilku modeli, spotkanych w życiu,—modeli, nie dających jeszcze prawa do wydawania sądów ujemnych w ogóle. Już w „Hrabinie Sylwii,“ życie przedstawione jest w oświetleniu smutnem i brudnem; zamiast podnioślejszych motywów, spotykamy ustawiczny widok kałuży i błota. Posępne widnokręgi roztacza autor i każe patrzeć nam na poniżenie kobiety, którą trzeba było z niebezpieczeństwa, grożącego upadkiem wyprowadzić do światła.

W figurze tej, jak i w wielu innych, p. Konar za dużo gromadzi czynników złych, za mało ma wiary w zwycięztwo lepszej cząstki natury ludzkiej,—a przecież fakt to niezaprzeczony, iż wpośród naszego świata niewieściego—cnota kojarzy się z pięknością i dobrem. I gdyby p. Konar głębiej wpatrywał się w życie nasze, a mniej opierał się na przerafinowanem doświadczeniu i analizie serc kobiecych pisarzów francuskich, stworzyłby już był niemało idealnych typów niewieścich, przemawiających do nas przekonywająco i szlachetnie. Pisarzom naszym, wogóle, dał najznakomitszy dziś znawca psychologii niewieściej, Henryk Sienkiewicz, wzór nieporównany przedziwnego typu kobiecego w osobie Anielki w powieści „Bez dogmatu:“ trzeba się na ten wzór patrzeć, kreśląc zasadnicze rysy fizyonomii kobiety polskiej.

Ale już w pierwszych próbach literackich p. Konar wykazał niemałe przymioty stylu i potoczystości języka—przymioty wagi pierwszorzędnej, które świadczą zawsze o talencie i zmyśle artystycznym pisarza.

Od dramatu przerzucał się p. Konar do nowelli, od nowelli do komedyi, od tej do powieści, a potem znowu wracał do dramatu, gdyż pomimo wszystko pozostał autorem dramatycznym z krwi i kości, jakkolwiek to i owo w jego zawodzie pisarza scenicznego się nie udało. W kierunku powieściowym doszedł do poziomu nader wyniosłego w „Siostrach Malinowskich,“ w kierunku dramatycznym zaś zdobył już ostrogi oficerskie w „Gąsienicach,“ w których na każdym kroku spostrzedz było można obserwacyę trafną, dobrze schwycony ruch działających postaci, zwłaszcza dwojga młodych ludzi: pensyonarki i studenta,—słowem, stwierdzono tu talent przyrodzony, zdolny do osiągnięcia prawdziwych wyżyn artystycznych.

Śmiało więc mógł się p. Konar po „Gąsienicach“ zabrać do nowego utworu; zabrał się też do niego i napisał komedyę w czterech aktach, p. t. „Figle Amora,“ któreśmy ujrzeli niedawno w „Rozmaitościach.“

Z góry powiedzieć muszę, iż najnowsze dzieło utalentowanego autora nie stoi na tej wysokości, na jakiej spodziewaliśmy się je ujrzeć,—a szkoda, gdyż usposobienie względem p. Konara nietylko wśród publiczności, lecz i wśród krytyki było jak najsympatyczniejsze. Z drugiej znów strony nie należy z tego powodu czynić autorowi zbyt silnych zarzutów, albowiem daleko bardziej doświadczeni od niego i daleko więcej rutynowani pisarze z nowemi swemi dziełami niejednokrotnie padali ku zdumieniu ich własnemu. Bądźmy względni i wyrozumiali, zwłaszcza, iż rzeczywiste zalety cennego twórcy najzupełniej uprawniają, a nawet wymagają tej względności.

Treść sztuki przytoczę według wybornego zarysu p. Kazimierza Zalewskiego. Pani Aniela Romicka, młoda i bogata wdowa, mieszka na wsi w Bożysławicach z małym synkiem Tadziem, liczącym prawdopodobnie więcej nad lat siedm, bo sprowadziła do niego nauczyciela z Warszawy, studenta z uniwersytetu, Karola Kołakowskiego. W domu tej pani przebywa stała jej krewna Kuniewiczowa, również wdowa, osoba już w pewnym wieku, która ma 16-letnią córkę Teosię, narzeczoną Karola. Do stałych gości w Bożysławicach należą jeszcze: jakiś radca Bartoszewski, zamieszkały w sąsiedniem miasteczku, niedołęga, głuchy i ślepy, z głową osłabioną, skutkiem starości, i doktor Mańko, który leczy panią domu i prowadzi podjazdową wojnę z jej krewną, rezydentką. Do pani Anieli przyjeżdżają z Warszawy: pani Irena Jaśmińska, prowadząca proces rozwodowy ze swoim mężem, adwokatem, i panna Dziunia, siedmnastoletnia grymaśnica, z główką zawróconą pesymizmem, czy emancypacyą; do kompletu dołączają się jeszcze ojciec i syn Glebowie, obywatele wiejscy z sąsiedztwa.

Wszystkie te postacie autor wprowadza w ruch, gdyż mama Kuniewiczowa obawia się, aby narzeczony jej córki nie zakochał się w pani Adeli, i na skutek tego pragnie, ażeby doktor Mańko oświadczył się o bogatą wdówkę. Doktór, zobaczywszy Dziunię, od razu się w niej zakochał, ta zaś zapłonęła afektem do Karola, bo jest bardzo urodziwy. Karol kocha się w Teosi, ale młoda gąska jego uczuć nie podziela i woli się dać wykraść Cypryanowi Glebie. Separatka Jaśmińska nawiązała jakąś intrygę w Nicei z anglikiem, który w końcu zdemaskowany przez jej męża okazuje się niemieckim, zbankrutowanym barytonem. Pani Irena w domu kuzynki zastaje fotografię męża—i myśl płochej osoby zwróciła się do niego, zjawiającego się też pod koniec i godzącego się z małżonką. Pary łączą się w rezultacie według z góry ukartowanego planu: wszystkie *Numy* wychodzą za swych *Pompiliuszów* i... *finita la comedia...*

Jak widać z treści, intryga niezbyt kunsztownie, choć mozolnie zbudowana, nie płynie w ciągu akcyi w sposób, któryby nazwać było można zajmującym,—a rzecz cała raczej na epizodach, na pojedyńczych, oderwanych wspiera się szczegółach, aniżeli na fundamencie dramatycznym. Wszelako autor, pomimo niefortunnego wyboru tematu, potrafił zgromadzić w swej sztuce znaczną liczbę momentów wesołych istotnie i wywołujących w audytoryum częste wybuchy śmiechu. Te dowcipy, owo zacięcie i werwa—to są właśnie przymioty urodzonego drumaturga, który nawet z rzeczy słabszej wydobyć potrafi chwilami efekt pożądany.

Stwierdzić też należy, iż na przedstawieniach „Figlów Amora,“ widzowie są wcale dobrze usposobieni i bawią rzeczywiście—do czego dopomagają im artyści świetnie odtwarzający swe role.

Pierwszeństwo należy się panu Frenklowi, który siłą swego nieporównanego komizmu co chwila wywołuje homeryczny śmiech wpośród publiczności; również pani Lüde gra bardzo pięknie i dystyngowanie. P. Wolski przeszarżował może nieco swą rolę, ale za to jego Cypryś Gleba drgał wesołością i bawił nieustannie. Dobrze zarysowała sylwetkę grymaśnej panny, p. Trapszo, oraz starej rezydentki p. Borkowska. Uroczo, jak zawsze wyglądała p. Fedorowiczowa, posiadająca sympatyczny liryzm w interpretacyi. Świetnym radcą był p. Rapacki, a p. Nowicki, jako kochający student miał dużo szczerego zapału.

A. Dobrowolski.

Korespondencya ze Lwowa.

Styczeń 1897.

Ostatnie tygodnie zaznaczyły się u nas nietylko ruchliwością, ale zarazem faktami, których do niedawna niespodziewano się a na które jednak złożyły się wytrwałe usiłowania kobiet. Mamy tu na myśli głównie sprawy kursów akademickich i sprawy nauczycielskie. W chronologicznym postępując porządku, należy się pierwszeństwo kursom akademickim. Wiadomo łaskawym czytelniczkom, że we Lwowie zawiązało się pośród profesorów uniwersytetu towarzystwo kursów akademickich dla kobiet, a wiadomo z kroniki „Bluszczu“, więc do tego komunikatu dodamy tylko słów parę. Towarzystwo to wytknęło sobie za cel główny udzielanie kobietom wyższego wykształcenia naukowego, w zasadniczych gałęziach wiedzy ludzkiej. Powtarzamy to *in extenso* ze statutu a w dalszym ciągu powiada program towarzystwa: „Potrzeby i znaczenia instytucyi, niosących kobietom szerszą i głębszą naukę, niż jej udzielają i udzielać mogą istniejące obecnie zakłady żeńskie, dzisiaj już nie potrzeba dowodzić: uznał je zgodnie cały świat ucywilizowany. Nie tylko ze sfer, poddających się łatwo nowym prądom, ale i z kół najpoważniejszych i najkompetentniejszych, patrzących trzeźwo i rozważających gruntownie zadanie i zakres działania kobiety w społeczeństwie, odezwał się głos potężny i woła o gruntowniejsze i odpowiedniejsze, o umiejętne wykształcenie niewiast. Usprawiedliwione te nawoływania wioną dzisiaj jak ożywcze tchnienia przez obszerne niwy społecznego życia a zwiastują niewątpliwie zdrowy postęp, bo dążą do rozszerzenia prawdziwego wykształcenia tam, dokąd ono dotychczas nie doszło“. Towarzystwo aczkolwiek wychodzi z zasady, iż *innego* wychowania potrzebuje kobieta, uznaje, iż równość uprawnienia do naukowego wykształcenia powinna być w zupełności wprowadzoną. Brakowi tej sprawiedliwości w dopuszczeniu kobiet do źródeł wiedzy, mają zaradzić kursa akade-

mickie z systematycznymi wykładami. Trwać one będą 3 do 4 lat. Na razie urządzono jako próbę kurs zimowy, mający trwać od 15 stycznia do 15 kwietnia 1897. Kiedy towarzystwo się zawiązywało ku wielkiej radości tych kobiet, które bardzo się tego dobijały, w obozach zachowawczych spostrzegano wzruszanie ramionami, wyraz powątpiewania i apodyktyczne: wiele się nie zapisze słuchaczek, to pewna. Tymczasem, w obec faktu, że towarzystwo ograniczeń nie stawiało żadnych, ale orzekło, iż która z kobiet ukończyła rok 16 życia a zapłaci wpisowe 3 złr. i czesne 1 złr. za każdy przedmiot, może być przyjętą i uprawnioną do słuchania wykładów, zapisało się 270 kobiet różnego wieku, bo od 16-go do 50-go roku życia, a pośród nich najwięcej nauczycielek. Przeznaczono 17 godzin wykładów popołudniowych dla tych kursów; miejscem wykładów jest piękny, niedawno wzniesiony instytut chemiczny, stanowiący oddział gmachu uniwersyteckiego, nie mogącego już pomieścić koniecznych sal do nowej pracy. Instytut chemiczny mieści się przy ul. Długosza, więc wprawdzie trochę oddalony od centrum miasta, ale pierwsze słuchaczki, jak niegdyś im mówiono: „Nie ma złej drogi do swojej niebogi“ — tak dziś powiadają: „Nie ma tak uciążliwej drogi, po której nie poszłybyśmy skoro prowadzi do wiedzy, do promienistego światła. O tem wszystkim przemawia objawiająca się dosadnie gorliwość kobiet i zapał, prawdopodobnie tym razem nie słomiany. Na inauguracyjne zebranie do sali ratuszowej przybyła taka ilość kobiet, że ich sala ta wielka pomieścić nie mogła. Byli też pierwsi dostojnicy kościoła, kraju i państwa obecni. Zagaił posiedzenie prof. Ćwikliński, prezes Towarzystwa kursów akademickich. Jego wstępne słowo podnosiło znaczenie kursów i wyrażało zadowolenie ze znacznej ilości zapisanych słuchaczek. Powitawszy zgromadzone panie, wyraził nadzieję, iż obecni na inauguracyjnej uroczystości dygnitarze, zechcą się stale opiekować tą młodą instytucyą. Po wstępie zabrał głos dr. Głabiński a obrał sobie temat następujący: „Kobieta w obec kwestyi społecznej“. W półgodzinnej mowie niepodobna było tematu wyczerpać, ale w każdym razie przedstawił go prelegent w głównych zarysach, jasno i logicznie. Na niektóre tylko zapatrywania ogół słuchaczek godzić się nie chciał, jak później w prywatnej rozmowie dało nam się spostrzedz.

Nakoniec profesor Twardowski zakomunikował kilka ważniejszych przepisów co do uczęszczania na wykłady a między innemi zaznaczył także, iż oddawna przyjęty zwyczaj tak zwanych „kwadransów akademickich“ będzie także obowiązywał kobiety. Rozumieć to należy w ten sposób, że zapowiedziane na godzinę trzecią, czwartą, piątą wykłady, zaczynać się będą o kwadrans na czwartą, piątą, szóstą. Wyborem komisyi kontrolującej rachunki zakończono posiedzenie.

Nazajutrz pojawiły się o tej uroczystości wzmianki w dziennikach. Jedne opisywały inauguracyę objektywnie, drugie ze współudziałem zadowolenia z powodu powstania i otwarcia kursów a inne z przekąsem. Te ostatnie nazwały wszystko w czambuł, co się do towarzystwa kursów odnosiło, „objawem ruchu feministycznego“—zapoczątkowanegu w ostatnich czasach we Lwowie. Ta sama nazwa dostała się również ostatniemu wypadkowi ze sfer nauczycielskich. Rzecz ma się tak. Przed trzema tygodniami rozpoczęły się zwyczajne doroczne konferencye okręgowe nauczycieli i nauczycielek. Na pierwszej konferencyi główne miejsce zajął wybór jednego reprezentanta nauczycielstwa do rady szkolnej okręgowej. Ponieważ w obradach nad sprawami szkolnemi zasiada aż ośmiu członków a mimo przeważającej liczby nauczycielek nie ma tam ani jednej ich reprezentantki, zatem postanowiły wybrać kobietę, jaka delegatkę do rady szkolnej okręgowej. Nie tajnem im przecież, że zagranicą istnieją takie delegatki a nawet inspektorki szkół już od lat dwudziestupięciu (Anglia, Szwecya i t. d.). Zatem postanowienie takiego wyboru było oparte na bardzo realnych a godziwych podstawach. Mimo to wszakże natrafiło na ogromną opozycyę ze strony mężczyzn. Opozycya jednak nie była dość silną, gdyż nieskoncentrowana i niejednomyślna. Mężczyzni nie mieli ani jednego kandydata, na któregoby jednozgodnie głosowali — i wskutek tego musiano aż trzykrotnie te wybory przeprowadzać. W tem ponawianiu wyborów leżała jednak i ta myśl ukryta, ale aż nadto widoczna, żeby udaremnić zabiegi nauczycielek, wyboru reprezentantki. Mimo to wszakże i po raz trzeci najwięcej głosów miała kobieta ostatni raz, posiadała już większość głosów wszystkich głosujących, t. j. mężczyzn i kobiet, gdyż poprzednio tylko kobiet—a zatem wybór przyszedł do skutku i przyjętym być musiał. Chodzi tylko o to, by został przez radę szkolną krajową zaakceptowany. Nie wiemy czy rada szkolna krajowa okaże się temu przychylną, lecz jest to w każdym razie *zwycięztwo zasady*, które wielce raduje nietylko ogół nauczycielek, ale ogół kobiet, zajmujących się życiem szerszem, społecznem. Czy nauczycielki lwowskie miały racyą? Na to odpowiemy bardzo skromnie i węzłowato, ot, poprostu liczbą tylko. Co w tej racyi ma do czynienia liczba? Oto chodzi nam o to, ile jest we Lwowie nauczycielek, a ilu nauczycieli. Zestawienie odnośne z ostatnich lat przedstawia liczbę następującą. Wedle obliczenia z roku 1894 i 1895 jest nauczycieli 104, nauczycielek 291, prócz tego 9 osobnych do robót i 6 nauczycielek do rysunków — razem zatem: 306 nauczycielek, a 104 nauczycieli. Nie mamy obliczenia statystycznego z roku 1896, ale zaznaczyć tu musimy, że ilość dzieci uczęszczających do szkół wzrasta ogromnie z roku na rok, skutkiem coraz bardziej przestrzeganego przymusu szkolnego i skutkiem wzrostu ludności. Większa ilość uczęszczających do szkół dzieci wymaga dzielenia zbyt licznych klas na dwa lub trzy równorzędne oddziały i ztąd każda szkoła ma jedną lub dwie filie, mieszczące się na razie jeszcze w prywatnych lokalach. W obec zaś tego faktu dzielenia klas na równorzędne oddziały, musi być personel nauczycielski pomnażany — wszędzie zaś przyrost dziatwy szkolnej jest silniejszy w szkołach żeńskich, niż w szkołach męzkich.

A w końcu jeszcze jedna również skromna uwaga, iż tam gdzie chodzi o gorliwość, o podjęcie się jakiej pracy nie dla zysku, ale z altruistycznych pobudek, nauczycielki zawsze są pierwsze, bez względu na swój i tak bardzo zajęty czas i częstokroć bardzo pajęcze siły. Że nie jest to twierdzenie gołosłowne (a, przepraszam, nie mówiłam w formie twierdzenia, tylko skromnej uwagi), niechaj posłuży za dowód fakt z dni ostatnich. Przed rokiem przeszło, kilka pań z Czytelni lwowskiej dla kobiet — a między nimi znowu nauczycielki — założyły centową herbaciarnię dla biedaków, cierpiących w zimie zwłaszcza, dotkliwie głód i chłód. Ogół myśl poparł i słowem i czynem i tak powstały fundusze na założenie drugiej takiej herbaciarni w innej i to najuboższej dzielnicy miasta (w Żółkiewskiej). Ażeby się zaś już dłużej nie rozpisywać, zauważymy, iż kto gorliwie spełnia swe obowiązki a nadto z szlachetnych pobudek i czas wolny od pierwszych poświęca nowym, dobrowolnie przyjętym obowiązkom, ten zasługuje przecież na to, by mu w zamian przyznano słusznie należące się prawa. Ta zaś myśl od niedawna dopiero wyszła na forum spraw publicznych, dotychczas bowiem przyzwyczajono się zanadto do tego, że kobieta pracowała a nic prawie w zamian nie żądała. Ztąd teraz takie zdziwienie i narzekanie na rzekomy feminizm. Wszakże to tylko proste domaganie się słuszności bez cienia jakiejkolwiek demagogii. Zresztą skoro jesteśmy *połową* rodzaju ludzkiego, pamiętaćby należało o tym matematycznym pewniku, że co do wartości i znaczenia, połowy muszą być sobie równe, gdyż inaczej nie są połowami. Pewnik ten przenosimy do życia społecznego na pole prasy.

Janina S. Aleksota.

NA MORZU.

OBRAZY I NASTROJE.

(Dalszy ciąg).

4) Gibraltar.

Tymczasem wystarczyło nam znaleźć się z powrotem na okręcie, ażeby zapomnieć o przewidywanej burzy, a myśleć o śniadaniu, z którem tu — jakeśmy się na samym wstępie dowiedzieli od wygolonego *maitre d'hôtel* — już czekano na nas. Przy tejże sposobności dowiedzieliśmy się, że powróciliśmy ostatni, iż wszyscy, co pojechali obejrzeć Tanger, wrócili przed nami. Chcieliśmy zaraz spieszyć do sali jadalnej, ale, niestety, byliśmy tak zabłoceni, że należało koniecznie, przed pokazaniem się przy stole, conajmniej zmienić obuwie. Jakoż uczyniliśmy to, a co do mnie, to przebrawszy się w mej kajucie (w której już znalazłem wzorowy porządek, począwszy od posłanego łóżka, a skończywszy na otwartem okienku, wpuszczającem świeże powietrze) uważałem, że nie zaszkodzi umyć się jeszcze, zanim usiądę do śniadania — naprzeciwko mego uroczego vis à vis. Okazało się, że nietylko ja wpadłem na tę myśl, w kajucie bowiem, gdzie się znajdowały umywalnie, zastałem naszego towarzysza-Francuza, który mi od tej chwili jeszcze bardziej wydał się podobnym do Aleksandra Dumasa (syna), i ojca moich Angielek: obaj byli bez surdutów, z zawiniętemi rękawami od koszuli, i myli ręce.

Po krótkiej chwili siedziałem przy stole, na swojem zwykłem miejscu, naprzeciwko mych Angielek, z któremi już byłem na prawach znajomości. Już nie potrzebowałem, jak podczas wczorajszego obiadu, siedzieć, jak głuchoniemy; owszem, od pierwszej chwili, ledwo zdążyłem usiąść przy stole, wdałem się w rozmowę z mojem uroczem vis à vis i jej siostrą, a że mówiliśmy o Tangerze, o świeżo doznanych wrażeniach, a także i o szalonym apetycie, z którym powróciliśmy wszyscy, więc to ośmieliło i inne osoby, że się do naszej rozmowy przyłączyły. Pierwsi, którzy to uczynili, byli moi sąsiedzi Francuzi, którzy z Tangeru powrócili w lepszych jeszcze humorach, niż byli przy wczorajszym obiedzie, a tak dowcipnie opowiadali o życiu wschodniem, o jakimś haremie, do którego się dostali przypadkiem, korzystając z niebytności bogatego właściciela kilkunastu odalisek, że najprzód mnie wciągnęli do tej wesołej rozmowy, potem naszego Francuza, którego i przy stole można było wziąć za Al. Dumasa syna, a w końcu całe towarzystwo, nie wyjmując kapitana i jego towarzyszów okrętowych. Kiedy podano jarzyny (na pierwsze danie była sałata z homarów), już rozmowa stała się ogólną. Wyjątek stanowili moi sąsiedzi Anglicy, którzy już wczorajszy obiad „milczkiem żwawo jedli“, ani słowa nie mówiąc nawet do siebie. I dziś nie zauważyłem, ażeby z sobą zamienili choć dwa wyrazy. Gdyby nie to, że obaj byli mężczyznami, można by ich wziąć za małżeństwo. Tymczasem cały stół co chwila trząsł się od śmiechu, a była to zasługa naszych towarzyszów Francuzów, którzy raz po raz czynili tak dowcipne uwagi na temat Tangeru, podróży morskiej, homarów, wina, apetytu etc., że przy deserze, który nastąpił po doskonałem pieczystem, na wszystkich ustach igrał uśmiech, a wszystkie oczy wyrażały niekłamaną wesołość. Twarze były rozjaśnione, a policzki — zarumienione, wszyscy bowiem, powróciwszy z wyśmienitym apetytem, o ile jedli bardzo dużo, o tyle pili jeszcze więcej, co przychodziło tem łatwiej, że wino — czerwone i białe — było *à discretion* pod względem ilości, a pod względem jakości zalecało się niepoślednim gatunkiem. Tylko moi sąsiedzi Anglicy siedzieli poważni, jak mumie, ani przyłączając się do ogólnej rozmowy, ani śmiejąc się, kiedy się wszyscy śmiali. Jeżelim ich porównał do mumii,

to porównanie to jest o tyle trafnem, o ile się odnosi do milczenia i powagi mych albiońskich sąsiadów; zważywszy bowiem, iż te milczące mumie, które siedziały po mojej lewej stronie, wszystkich potraw brały po dwa razy, a pragnienie miały niemniejsze od apetytu, należy uczynić małe zastrzeżenie, że pod tym względem użyłem porównania nietrafnego... Za to, jeżeli chodzi o moje vis à vis, które, kiedy się śmiało, było jeszcze piękniejsze, niż w chwili spokoju, to nie użyję złego porównania, gdy jego śmiech porównam do brylantowych pasażów jakiego chopinowskiego *Scherza*.

Porównanie to, jakkolwiek mówiące wiele, jest tem trafniejsze, żeśmy pod koniec śniadania, przy czarnej kawie z koniakiem, przeszli na temat muzyki w ogóle, a fortepianu i Chopina w szczególności. Ażeby umotywować tę rozmowę, muszę nadmienić, że w końcu sali jadalnej, w której siedzieliśmy w tej chwili, stało piękne pianino Erarda. Ztąd assumpt do wszczęcia rozmowy o muzyce. Przy tej sposobności dowiedziałem się, iż moje Angielki grają na fortepianie, a zwłaszcza lubią grać na cztery ręce, w czem celują. Zapytany przez nie, czy jestem muzykalny, dałem odpowiedź twierdzącą, co zaraz wywołało prośby, ażebym im coś zagrał po śniadaniu. Nie widziałem powodu, żeby się wzdragać, więc przyrzekłem, pod warunkiem jednak, że nie ja pierwszy zasiądę do fortepianu, ale one. Zgodziły się, co mi odrazu pozwoliło się domyśleć, że muszą być dość pewne siebie, skoro z taką pewnością przystały na moją propozycyę.

Tymczasem inna muzyka zwróciła naszą uwagę: dało się słyszeć gwałtowne dudnienie. Okręt począł jakby drgać: zaczęto wyciągać kotwicę. Jednocześnie kapitan i jego oficerowie powstali od stołu, skłoniwszy się całemu towarzystwu, i udali się na pokład.

Po niejakiej chwili uczyniło to samo całe towarzystwo. Co do mnie, to trzymałem się moich *misseczek*.

Znalazłszy się na pokładzie, zauważyłem przedewszystkiem, iż przepowiednia naszego towarzysza Francuza, przeczuwającego możliwość burzy, kiedyśmy płynęli ku okrętowi, mogła się sprawdzić. Powietrze było dziwnie ciężkie i duszne, tak duszne, że wyszedłszy na pokład, doznałem wrażenia (którego doznały także i moje *misseczki*), iż z chłodu wydostałem się na spiekotę. Spojrzałem na zegarek. Dochodziła pierwsza. Zatem było południe, a należało pamiętać, iż wybrzeże, które widzieliśmy przed sobą, było Afryką, słońce zaś, które świeciło, było słońcem afrykańskiem. Mimo to przeświadczenie, burza zdawała się wisieć w powietrzu, nie bacząc na pozorny spokój, jaki panował dokoła; na senne morze, które z pokładu wydawało się gładkiem zupełnie; na absolutny brak wiatru, którego najlżejsze tchnienie nie chłodziło twarzy (coby jej nawet nie zaszkodziło po sutem śniadaniu). W powietrzu zaległa cisza, której nie zakłócało nawet skomlenie mew. Bo i mewy pochowały się niewiadomo gdzie. Czuło się tylko upał, który uwidoczniał się gęstą opalową zrzeżogą, przesłaniającą dalszy widnokrąg. Tanger, choć nas od niego dzieliła tak nieznaczna przestrzeń, wyglądał jakby przesłonięty gęstą gazą, a gaza ta, kiedy się w nią było wpatrzeć, męczyła wzrok, raziła oczy, tak, że się je przymykało co chwila, jak od zbytku blasku. Podobna gaza zdawała się wisieć nad masztami naszego okrętu, pomiędzy niebem a morzem. Niebo, choć wolne od chmur, straciło swój kolor turkusowy, a stało się podobne do opalu. Miało się wrażenie, że jakiś brązowawy tuman zawisa w powietrznej przestrzeni, tuman, przez który nawet słońce przeświecało z trudnością, Jakoż, choć cały pokład był skąpany w promieniach słońca, cienie nie były ostre i ciemne, ale jakieś mgliste, niezdecydowane.

Tymczasem rozległ się przeraźliwy sygnał do odjazdu, a po krótkiej chwili, punktualnie o godzinie 1-ej, okręt ruszył z miejsca. Tanger począł się zasuwać w głąb, kryjąc się jakby za coraz gęstszą gazę. W końcu skrył się za nią zupełnie. Po kwadransie nie widzieliśmy już brzegów, a nawet morza zaczęliśmy widzieć coraz mniej, morze bowiem, pod wpływem upału, zaczęło się jakby parować, tak, iż płynęliśmy jakby we mgle, która tem tylko różniła się od zwykłej mgły, że była przesycona jakimś opalowym blaskiem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Na dochód biblioteki Czytelni dla kobiet we Lwowie, wygłosiła pani Marya Konopnicka, wobec przepełnionej sali ratuszowej, wspaniały odczyt, p. t. „Nasz lud“. W szerokim obrazie, opartym na ścisłych danych dziejowych, barwnym, poetyckim językiem, skreśliła prelegentka przyczyny i wpływy rozłamu społecznego między ludem a innemi warstwami socyalnemi, oraz przedstawiła obecny stan umysłowy i moralny naszego ludu. Bystre poglądy, powaga treści i powabna forma złożyły się na niezmiernie zajmującą całość odczytu, w którym słynna nasza poetka wykazała zdolności utalentowanej prelegentki.

— Ludową poetkę niemiecką Johannę Ambrosius, zaszczycił zarząd kuratoryi zakładu imienia „Edwarda v. Bauernfeinda“ w Wiedniu, honorową nagrodą 500 guldenów. Kuratoryum składają wybitne osobistości, znane w literaturze, nauce i sztuce. Wiadomo, że J. Ambrosius mieszka w małej wioseczce na Pomorzu i tam dzieli swój czas między zajęcia włościańskiego gospodarstwa, obowiązki rodzinne i — poezyę.

— W Bremie, pierwszą nominacyę na „tłomaczkę urzędową“ z języka hiszpańskiego otrzymała p. Joanna Lampe, nauczycielka języków: hiszpańskiego, francuzkiego i włoskiego. Specyalny egzamin otworzył p. Lampe drogę do tego urzędu, piastowanego po raz pierwszy przez kobietę.

— Przy paryzkim wyższym instytucie katolickim ma być założonym wydział studyów uniwersyteckich dla kobiet, obejmujący najrozmaitsze przedmioty: od ekonomii politycznej do estetyki. Wykłady dla kobiet będą się odbywały w innych godzinach i w innym budynku, niż dla studentów.

— Panna Emilia Dukszta-Dukszyńska, utalentowana artystka, wystawiła w salonie Towarzystwa sztuk pięknych trzy nowe prace: obraz treści religijnej p. t. „Fiat“, pastel „Portret pośmiertny“ i „Portret Al. Kraushara“.

— Pannę Wincentę Longchamps, kierowniczkę szkoły wydziałowej imienia św. Anny we Lwowie, wybrano 90 głosami przeciw 88, na konferencyi nauczycieli ludowych do rady szkolnej okręgowej, jako „reprezentantkę“ stanu nauczycielskiego. P. Longchamps należy do znakomitości w zakresie szkolnictwa ludowego i cieszy się ogólną, serdeczną sympatyą i uznaniem za swą długoletnią już pracę; dla tego też wątpić należy, aby sprawdziły się pogłoski, iż krajowa rada szkolna nie zatwierdzi tego wyboru kobiety, opierając się na brzmieniu przestarzałej i zacofanej ustawy, orzekającej, że w radzie okręgowej ma zasiadać „reprezentant“ grona nauczycielskiego. Zaznaczyć musimy, że wybór ten zasłużonej pracowniczki jest z jednej strony nową a zaszczytną zdobyczą na polu kobiecej działalności, z drugiej, świadczy raz jeszcze, że droga do tych zdobyczy najpewniejsza i najprostsza — będzie się zawsze nazywała — pracą.

— Uproszona przez wydział Czytelni dla kobiet we Lwowie, z dniem 1 lutego rozpoczyna trzymiesięczny „kurs psychologii doświadczalnej“, dr. Anna Wyczółkowska, która zwiedziła wszystkie niemal ważniejsze laboratorya psychologiczne w Europie, a pracowała czas dłuższy w laboratoryum fizyologicznem dr. Zygmunta Exnera w Wiedniu, oraz w laboratoryach psychologicznych Münsterberg'a we Fryburgu i Binet'a w Paryżu. Wykłady odbywać się będą we czwartki od godz. 6—7 wieczorem, w lokalu Czytelni dla kobiet, Rynek l. 10 — gdzie też rozpoczynają się wpisy we wtorki, czwartki i soboty od 4—6 g.

Z bieżącej chwili.

— Ministeryum rolnictwa przystępuje niezadługo do wydawnictwa szeregu illustrowanych broszur popularnych, które będą opisywały produkcyę różnych rzemiosł drobnych. Najwpierw zostaną wydane podręczniki, dotyczące stolarstwa, tokarstwa, malarstwa, szczotkarstwa, drzeworytnictwa i t. d.

— Student techniki w Charlottenburgu w Kreis otrzymał pierwszą nagrodę na konkursie architektonicznym ogłoszonym przez miasto Lipsk. Plany i modele na budowę pomnika narodowego nadesłało 72 architektów, między nimi tak wybitni i wytrawni, jak Bruno Schmitz. Fakt, że zaledwie 23 letni uczeń otrzymał pierwszeństwo wywołał sensacyę i zwrócił uwagę na utalentowanego laureata. Nagroda wynosi 6,000 marek.

— „Kl. Journal“ zapowiada założenie nowego katolickiego banku z siedzibą centralną w Paryżu. Filie banku powstaną w Berlinie, Londynie i Wiedniu. Na czele przedsiębiorstwa, stoją podobno książe Norfolk i członek pruskiej izby panów, książe Antoni Sułkowski.

— W Paryżu otwarto Izbę deputowanych. Na posiedzeniu zwracał powszechną uwagę młody deputowany d-r Grenier liczący lat 34, który przeszedłszy na mahometanizm zjawił się na posiedzeniu w turbanie i w burnusie arabskim. W sferach handlowych, Paryża sprawił pewne wrażenie okólnik reklamowy, podpisany przez Augusta i Karola Bourbonów—handlarzy win. Są to synowcowie Naundorffa, mieszkającego w Holandyi, nazywającego się Karolem XI i podającego się za potomka w prostej linii Ludwika XVII, który miał nie umrzeć w więzieniu, lecz uciec za granicę podczas rewolucyi.

— W Wilnie umarł ks. Ludwik Feliks Zdanowicz, biskup Dyonizyady. Zmarły dostojnik zarządzał dyecezyą wileńską po śmierci ś. p. biskupa Audziewicza. Chorował ciężko już od kilku tygodni. Zmarł w 83 roku życia.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkusz 9 powieści p. t. ***Siostry.*** Przełożyła Z. S.

Treść: **Pogawędka**, przez ?? — **Widziała**... Tłom. Szczęsna. — **Eliza Orzeszkowa**, przez J. Nitowskiego (dalszy ciąg). — **Na łasce**. Powieść, przez M. N. Sas-Junoszę (dalszy ciąg). — **Przegląd dramatyczny**, przez A. Dobrowolskiego. — **Korespondencya ze Lwowa**, przez Janinę S. Aleksotę.—**Na morzu**, przez Ferdynanda Hösicka (dalszy ciąg).—**Kronika działalności kobiecej.**—**Z bieżącej chwili.**

Dodatek obejmuje: Siostry, powieść. Przełożyła Z. S., arkusz 9.—Przegląd mód. 26 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycye obiadu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow-Przedmieście Nr. 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.
Дозволено Цензурою.—Варшава, 22 Января 1897 г.